

## Mój mąż.

Zgodnym werdyktem eskulapów skazany zostałem na 6-tygodniowy pobyt w Marjenbadzie. Przybyłem w pełni sezonu. Kuracjusze i kuracjuszki od rana do późnego wieczora byli gorliwie sobą nawzajem zajęci. Ja jeden tylko cierpiełem na samotność. Wtem spostrzegłem, iż pośród wielu pięknych oczu błakających się tu i owdzie, jedna para ślicznych piwnych oczu wpatrywała się we mnie natarczywie. Właścicielka ich była drobna i zgrabna osóбка tak pełna wdzięku i powabu, że zapragnąłem nieprzeparcie zawrzeć z nią bliższą znajomość. Towarzyszył jej 6 — 7 letni chłopczyk i skromna panienka w charakterze bony.

— Czy aby naprawdę zwróciła na mnie uwagę?

Pierwsze dwa dni miałem nieco wątpliwości, ale trzeciego byłem już siebie pewny. Moja czarująca nieznajoma najwyraźniej kokietowała mnie. I to nie tylko oczami, ale kubeczkami, parasolką, loczkami na czole, rasową nóżką... Jej: „chodźże, Hugo“, które rzucała chłopcu ilekroć znajdowałem się w pobliżu były niewątpliwie dla mnie przeznaczone ażebym poznał i podziwiał jej melodyjny i słodki głos.

„Czy mam się przedstawić?“ — spytałem w duchu.

„Nie, chyba — w jakim celu?“ — brzmiała odpowiedź.

Po 24 godzinach jednakże zmieniłem zdanie. Miałem jeszcze 60 kubków i 20 wanien przed sobą. A czas między kubkiem a wanną tak się wlecz!

Niewiele myśląc, podchodzę do mej kusicielki, przedstawiam się i deklaruję z tupetem, że napewno zna mnie już dobrze z widzenia.

— Rzeczywiście. Tak pan mi przypomina mego męża, że mimowoli muszę się panu przyglądać — odparła dama skromnie spuszczać wzrok ku ziemi.

— Wdzięczny mu jestem do grobu! — pedjałem nieco zbity z tropu.

W ciągu pół godzinnej rozmowy poruszyłem najrozmaitsze tematy, a moja interlokutorka w każdą odpowiedź wplatała niezmiennie swego męża.

Nazajutrz zrana spotkaliśmy się przy źródle.

— Wczoraj jeszcze doniosłam memu mężowi o naszym spotkaniu — powiedziała mi zaraz na wstępie.

— Jakto, wczoraj jeszcze?

— Naturalnie. Co wieczora piszę mężowi o wszystkim. On twierdzi bowiem, że małżonkowie powinni mieć nieograniczone zaufanie do siebie i dzielić się najdrobniejszymi wydarzeniami w życiu. Napisałam mu między innymi, że zaproszę pana do swego mieszkania. Wszak pan mnie odwiedzi, nieprawdaż?

Tegoż popołudnia złożyłem wizytę pani Adeli — tak było na imię mej uroczej znajomej. Zostałem ją przy biurku, na którym wśród paru arkusików papieru listo-

wego, stało kilka fotografii w ozdobnych ramkach. Pani Adela przy ich pomocy przedstawiła mi swą matkę i siostry. Moją uwagę jednak przykuła podobizna bardzo brzydkiego mężczyzny.

— Kto to? — zapytałem.

— Mój mąż.

— Dość przystojny mężczyzna — orzekłem — tylko zdaje mi się, że ma włosy nieco przerzedzone.

Na fotografii widać było zaledwie kilka włosków.

— Ach, niestety!

— A czy niezręczny fotograf tak fatalnie zretuszował, że wyglądają jak zezowate.

— Ach nie! Mój dobry mąż ma tę właściwość wrodzoną.

— I mimo to szanowna pani raczyła znaleźć duże podobieństwo między mną i swym mężem? — spytałem wzburzony.

— To było prawdopodobnie tylko chwilowe złudzenie, zupełnie zresztą usprawiedliwione, ponieważ bezustannie o moim mężu myślę.

W tej chwili Hugo wbiegł do pokoju i wskoczył mi zaraz na kolana.

— Lubisz wujka? — spytała matka.

— Bardzo Bardziej niż tatusia.

— Ach, ty nieznośny chłopcze! Jak możesz coś podobnego mówić.

— Tatusi ciągle gderze, a wujek nie.

Za tę niefortunną enuncjację malec musiał natychmiast pójść za drzwi, ja zaś od tej pory zacząłem się coraz żywiej interesować żoną tak nieciekawego mężczyzny. Chodziliśmy razem na spacer do pobliskiego lasu, mieliśmy już swoją ulubioną darniową ławkę. Bona była wytresowana znakomicie. Wiedząc, że o cyklauzonym trudno na skraju lasu, zagłębiała się po nie z dzieckiem w gęstwinę. Moje rozmowy z panią Adela przybierały coraz to tkliwszy charakter jakkolwiek intermezzo „mój mąż“ figurowało stale.

— Chciałabym wiedzieć, co mój mąż w tej chwili porabia? — zaczynała zawsze pani Adela.

— Przypuścimy, że zapala cygaro — odpowiadałem jednego dnia...

— Przypuścimy, że studjuje ceny rynkowe — odparłem innym razem, dowiedziawszy się, że pan i władca prowadzi duży handel chmielem.

Tak mijaly tygodnie. Moje kubki i wannы miały się ku końcowi. Za trzy dni zamierzałem Marjenbad opuścić.

Był piękny letni dzień. Wybraliśmy się po południu do leśniczówki w Glatzen oddalonej o godzinę drogi od naszego uzdrowiska.

Przejażdżka przez las wprawiła nas w zachwyt — balsamiczne powietrze upajało.

— Wujku wiewiórka!

— Mamo, mamo, patrz, sarna! — wołał co chwila rozradowany malec.

O godzinie 5-jej siedzieliśmy przy apetycznie zastawionym stole w Glatzen.

— Zachód słońca będzie dziś wspaniały — zrobiłem uwagę — jakżebym chciał

podziwiać go tu, w tym cudnym zakątku ziemi!

— Ja również — podchwyciła pani Adela — ale nie można nawet myśleć o tem. Boję się wieczornego chłodu dla Huga.

— Proszę pani — wtrąciła się bona — ja mogłabym z Hugonem odjechać do domu i auto odesłać.

— Ależ Berto — jakże auto może tyle razy tam i z powrotem kursować? — reflektowała ją pani Adela.

— Może pani na mnie polegać, że w ciągu dwóch godzin auto będzie w Glatzen.

Pani Adela nie sprzeciwiała się dłużej; usadowiliśmy chłopca z boną w aucie, sami zaś pozostaliśmy w Glatzen, oczekując zachodu słońca, które nie zrobiło nam zawodu. Oblawszy płomienną czerwień szczyty górskie, wolno i majestatycznie skryło się gdzieś w nieskończonej dali. Wkrótce potem błada tarcza księżyca zajaśniała dyskretnie na opuszczonym posterunku.

— Mój biedny mąż udaje się o tej porze na spoczynek — szepnęła pani Adela.

— Tak wczesnie?

— Tak. Nie lubi marzeń przy księżycu.

Przez chwilę rozmawialiśmy w wieczornej ciszy na tle przepięknej przyrody, poczem umilkliśmy.

— Co też mój mąż teraz porabia? — znów się odezwała moja towarzyszka.

— Pani zapomina, że on już śpi. Zostawmy go w spokoju. — I ścisnąłem mocno jej rączkę w mojej dłoni.

— Nie! — szepnęła.

Ale było to bezbronne, słabe „nie“, po którym nachyliłem się i pocałowałem ją w śliczne usteczka.

— Mój m... — zaczęła znów, ale nie mogła dokończyć, bo resztę scałowałem z jej ust, rozgniewany i podniecony.

Poddała się więc w cichości trzeciemu i czwartemu pocałunkowi, wreszcie opanowawszy się:

— Dość już tego, bezczelny! Co pan o mnie myśli!

Aż tu i auto w porę zahuczało...

Nazajutrz zrana spotkaliśmy się u źródła. Pani Adela trzymała w ręku zapieczoną kopertę. Zerknąłem ciekawie na adres.

— Do mego męża — objaśniła mnie, zauważywszy moje spojrzenie. — Mówiłam już panu, że donoszę mu o wszystkim.

— O wszystkim? — zapytałem i nagle słabo mi się zrobiło.

— Tak. Donoszę o wszystkim, póki jest miejsce na ćwiartce papieru. Dłuższych listów nie piszę, bo mąż tego nie lubi. Opisałam mu naszą wczorajszą wycieczkę, wspaniałą drogę przez las, szmer strumyków, świergot ptaszek — — —

— A finał? Szanowna pani! Na miłość Boską! Mam nadzieję, że dla finału nie było już miejsca na ćwiartce papieru?

— Tak, racja. Zabrał mi miejsca.

Tłum. z niem.

Jot-Saw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 6 czerwca 1926 roku.

Nr. 23.

## Polonia amerykańska polskiej orkiestrze włościańskiej.



Sztandar, tablica i puchar, ofiarowane przez polonję miast amerykańskich orkiestrze ludowej St. Namysłowskiego, podczas jej tournée po kraju Washingtona.

## Teatralja.

„Witkacy“ w Warszawie. — Teatry miejskie. — Kongres autorów dramatycznych. „Żądza“. — Z nowości paryskich.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, w sferach artystycznych popularnie a żartobliwie Witkacym zwany, odbył w tych dniach niejako oficjalny swój chrzest autorski w stolicy. Wprawdzie Teatr im. Fredry wystawił już w roku ubiegłym „Wścieklicę“, odnosząc sukces wyjątkowy, ale ze względu na skromny charakter tego teatrzyku było to raczej wejście przez furtkę, niż wjazd przez szeroko otwartą bramę teatrów warszawskich.

Obecnie Teatr Mały, który zdobył się na odwagę pokazania „całej“ Warszawie dwóch sztuk Witkiewicza, może sobie przypisać zasługę niebyłej.

Bezspieczna genialność, która, jak mówi Nowaczyński, stigmatyzuje twórczość Witkiewicza, pochłania i roztopia w sobie wszelkie jego dziwactwa, farmizmy i okropności, chodzące w parze groteska. Niektórzy wywodzą pewne pokrewieństwa pomiędzy St. J. Witkiewiczem a znakomitym sycylijszym Pirandellem, choć stwierdzić tu zaraz trzeba, że autor wystawionych w Małym: „Warjata i zakonnicy“ oraz „Nowego Wyzwolenia“ tworzył swe tętniące „nienasyconiem“ pisarskim sztuki, na długo przedtem, zanim o Pirandellu coś w Polsce usłyszano.

Wyjątkowa indywidualność Witkiewicza, której niemasz dziś podobnej w Polsce, wre i kipi pasją żywiołów w ostatnich premierach Teatru Małego. Piekielny, gryzący wprost, diaboliczny humor tryska z „Warjata i zakonnicy“, będącej — jeśli kto chce, — satyrą na wariactwa i krańcowości t. zw. freudyzmu (teoria psychoanalizy). Za credo społeczne autora można znów uważać „Nowe Wyzwolenie“, credo podane zresztą w przedziwnie ostrym sosie i niepokojące jakgdyby skondensowaną potęgą ukrytego wewnątrz — dynamitu.

I jedną zaś i drugą sztukę można oceniać jako dziwne sny“ (o co właśnie Witkiewiczowi chodzi), jako niezwykle wariactwa, ale tak czy inaczej każdy przyznać musi, że jest w nich coś innego, jakiś powiew dumnej, odosobionej genialności autora, przemawiającej do przekonania najbardziej nawet opornych...

A teraz, u schyłku sezonu, parę interesujących wieści o zamiarach miast polskich względem swych teatrów.

Więc Lwów ostatecznie postanowił prowadzić nadal trzy działy teatrów, t. j. dramat, operę i operetkę we własnym zarządzie, przewidując na ten cel kwotę 450,000 zł. Leopoldis semper Musae fidelis! Warszawa zamierza podobno skasować teatr im. Bogusławskiego oraz Teatr Letni, ale sprawę tę zadecyduje dopiero ostatecznie Rada Miejska. Ponieważ pozostawienie na łasce losu Teatru im. Bogusławskiego byłoby niepowetowaną szkodą dla najszerszych warstw publiczności, co podnosi cała prasa stołeczna, istnieje uzasadniona nadzieja, że Rada Miejska m. st. Warszawy

nie zatwierdzi zbyt daleko idących wniosków Magistratu. W Krakowie — narazie przesilenie wewnętrzne. Ustąpił długoletni, zasłużony dyr. Teofil Trzeciński, zaś prowizoryczne kierownictwo objął znany łodzianin dr. Zygmunt Nowakowski. Mówią wiele o zamierzonym powierzeniu dyrektorowi Trzecińskiemu dyrekcji teatrów lwowskich. W Łodzi — Magistrat prowadzi z dyr. Szyfmanem pertraktacje, pragnąc gorąco zapewnić miastu dobry teatr i w sezonie przyszłym. Wobec czasów ciężkich i niepewnych — wyniku tych pertraktacji przesądzać dziś nie będziemy, wyrażając jednak życzenie i nadzieję, że doprowadzą one do korzystnego dla naszego miasta zakończenia.

W mies. bieżącym odbędzie się w Paryżu międzynarodowy kongres autorów dramatycznych, na który zaproszenie otrzymał oczywiście m. in. Związek autorów dramatycznych polskich. Jak się dowiadujemy, Związek nasz uzyskał prawo do wysłania 5 delegatów. Nazwiska sześciu wybrańców, którzy reprezentować będą naszą twórczość dramatyczną w stolicy świata, podamy w swoim czasie.

Głośna dziś na scenach zagranicznych sztuka Amerykanina O'Neilla p. t. „Żądza“ ujrzała niedawno światło kinkietów na scenie lwowskiej. Temat sztuki, aczkolwiek nie nowy (rywalizacja ojca i syna o miłość żony, względnie macochy) opracowany został z niepospolitym talentem. Dwie najpotężniejsze namiętności zwykłej duszy ludzkiej: żądza miłości i żądza złota — przedstawione zostały z siłą rzadkiego realizmu.

Jedną z ciekawych stron struktury technicznej sztuki O'Neilla, bardzo zwięzłej i szybkiej w swej ekspresji scenicznej, jest symultaneizm (jednoczesność) akcji, rozgry

wającej się w czterech izbach ustawionego na scenie domku farmera Cabota. „Żądza“ zmontowana w Teatrze lwowskim bardzo starannie; główne role odegrali z powodzeniem pp.: Barwińska (macocha), Sosnowski (ojciec Cabot) i Żytecki (syn).

Jedną z najbardziej interesujących nowości repertuaru paryskiego jest wystawiona niedawno w „Théâtre de Paris“ sztuka F. Nozier'a p. t. „La Riposte“ („Odpowiedź“). Uczciwa niegdyś i piękna dziewczyna została uwiedziona przez bankiera Websteina, który — oczywiście — szybko porzucił chwilową zabawkę. Dziewczyna stoczyła się szybko na dno ludzkiej nędzy i upodlenia. Umiera w delirium, pozostawiając w szkatule listy do córki (ze związku z bankierem poczętej). Córka się mści. A dzięki urodzie i inteligencji tej dziewczyny — zemsta jest zimna i wyrafinowana. Poznawszy uwodziciela swej matki, Websteina, Małgorzata — wdziękiem i kokieteryją — czyni go swym niewolnikiem. Gdy zaś w trzecim akcie sztuki opanowany szaleem stary lowelas pragnie Małgorzacie zgotować los jej matki, dziewczyna rzuca mu ze śmiechem okrzyk: „Oj-cze!“ i wyznaje prawdę swego pochodzenia. Bankier pada, spiorunowany wyznaniem Małgorzaty. Cios był dobrze wymierzony!...

Sztuka p. Nozier'a, pomimo swych nieprawdopodobieństw i nawet pewnej — płytkości, napisana jest dobrze i emocyjną. Literackie grzechy „Riposte'y“ okupione są doskonałą techniką i umiejętnością operowania tem. co Francuzi nazywają: coup de théâtre. Dzięki temu — melodramatyczne trochę dzieje pięknej Małgorzaty zdobyły sobie duży sukces sceniczny.

Delta.

Komitet tygodnia „Czerwonego Krzyża“ przy pracy.

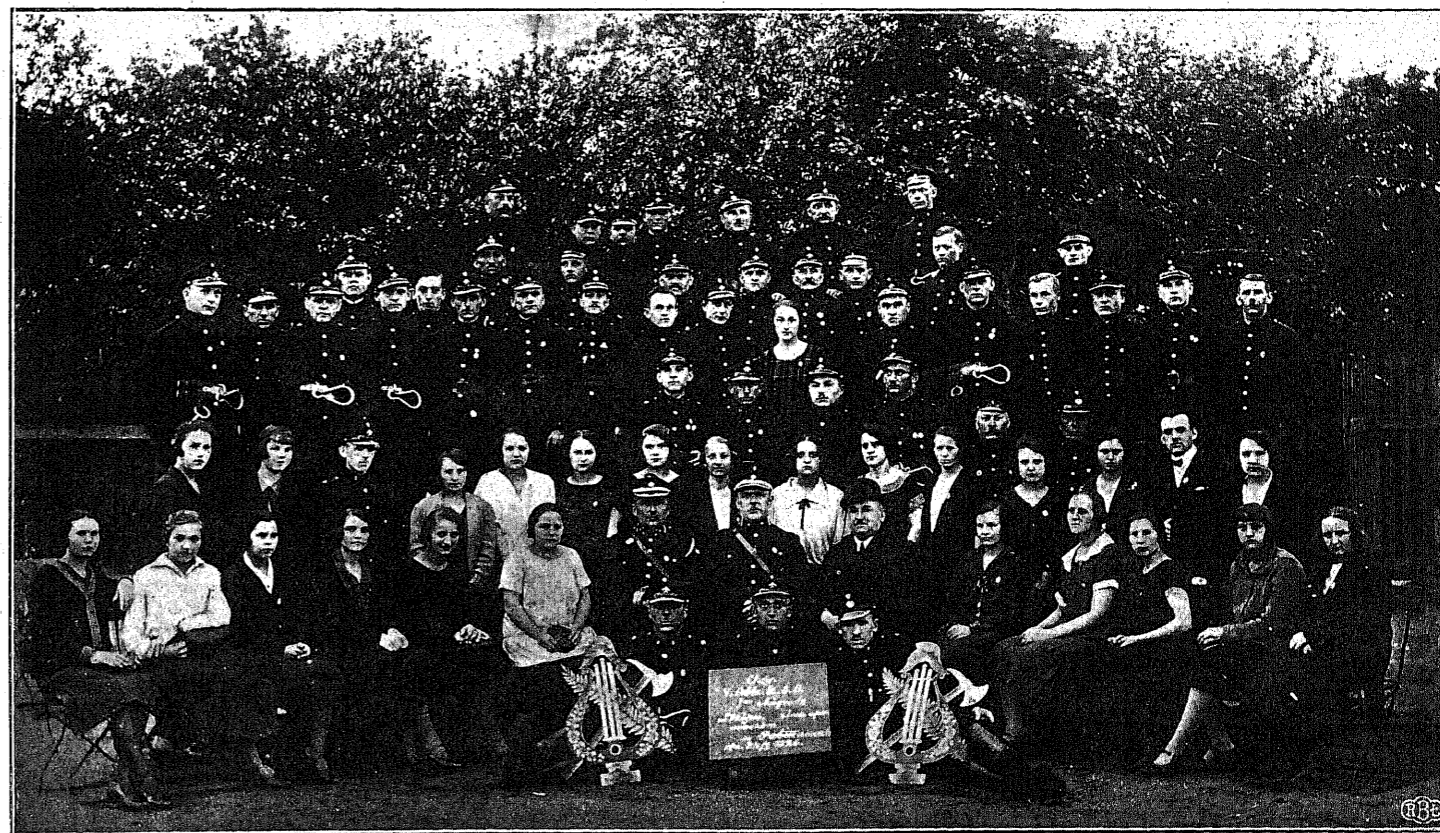


Obliczanie datków, pochodzących ze zbiórki ulicznej.

## „Święta pieśni“ w Pabjanicach.



Uroczysty pochód towarzystw śpiewaczych przez miasto do parku Wolności w Pabjanicach w dniu 23 ub. m.



Członkowie chóru i orkiestry V oddz. Łódzkiej Straży Ogniowej, która otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie „Święta pieśni“ w Pabjanicach.



P. Hayes, uroczą artystką paryskiego teatryku „Moulin-Rouge” zyskuje coraz większe powodzenie u wybrednej publiczności stolicy Francji.



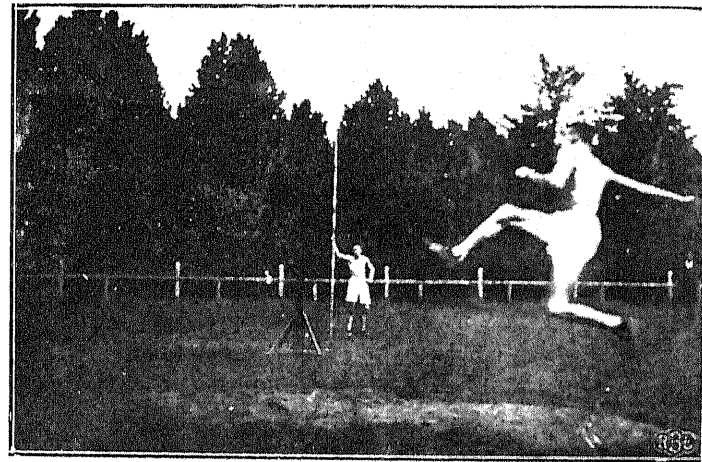
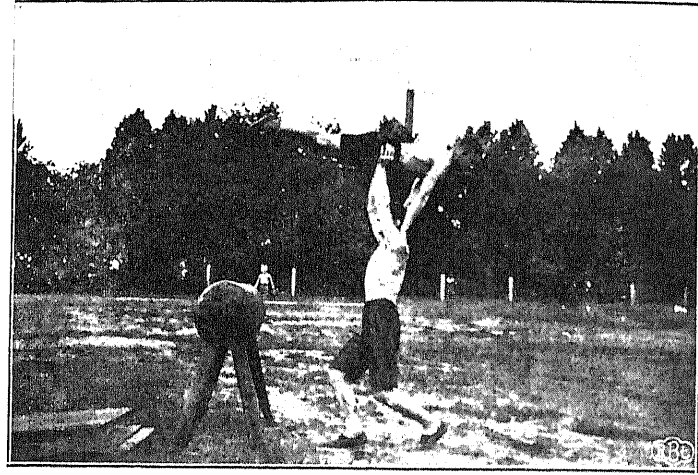
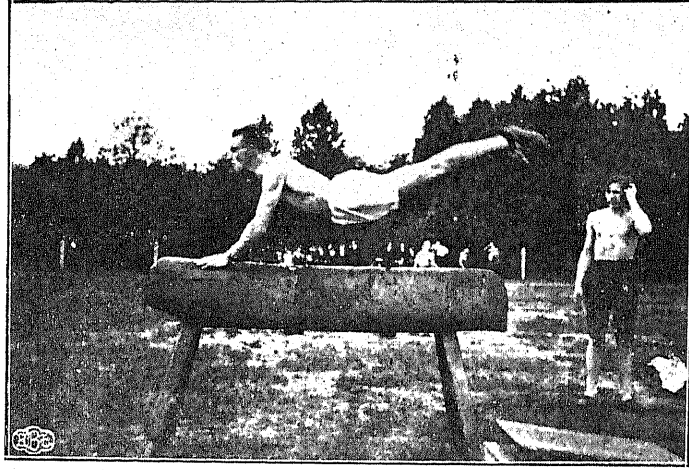
Udziela lekcji „Charlestona” młodemu słonikowi twierdząc, iż wykazuje on więcej płności tanecznych, niż niejeden przedstawiciel rodu męskiego.

Miss Lina Bayette,  
słynna tancerka amerykańska

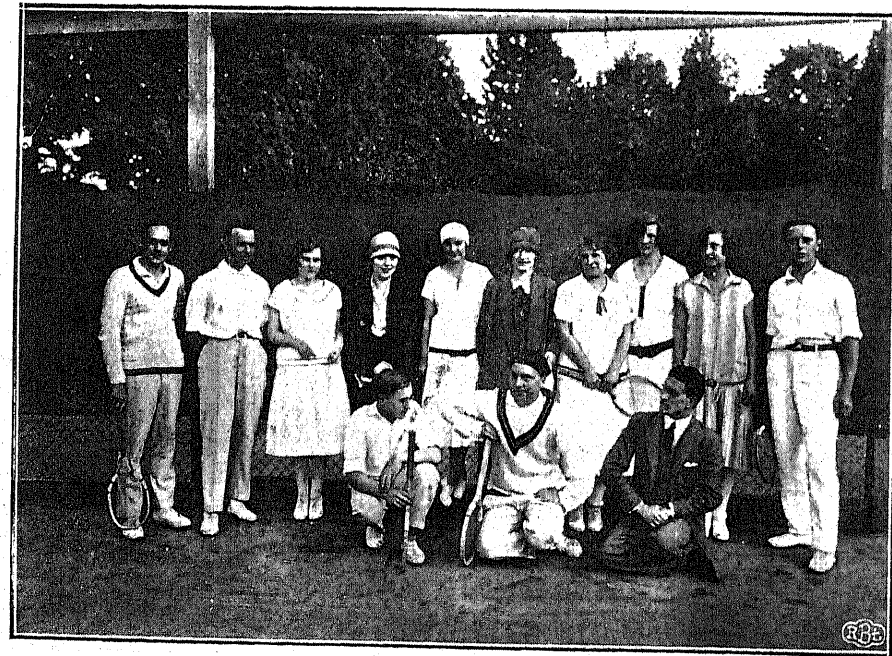


Joanna Morre, gwiazda paryskiego kabaretu „Foliers Berger”.

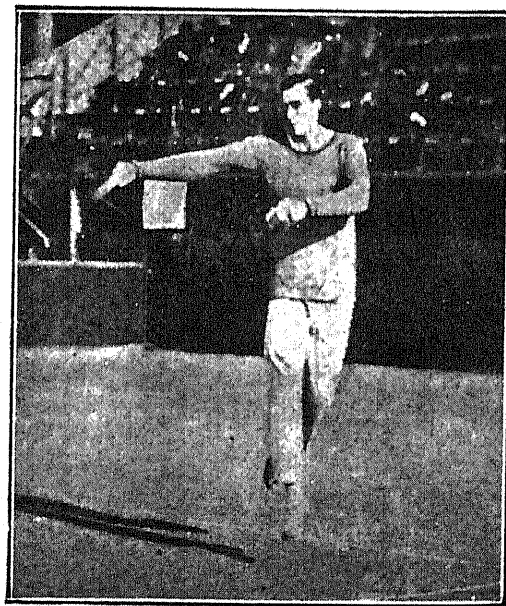
**Z ostatnich igrzysk lekkoatletycznych w Łodzi.**



W dniu 23 ub. m. T-wo Gimnastyczne „Sokół” urządziło w Parku Poniatowskiego w Łodzi szereg efektownych pokazów sportowych. Zdjęcia nasze uwidaczniają ciekawe momenty z tych ćwiczeń



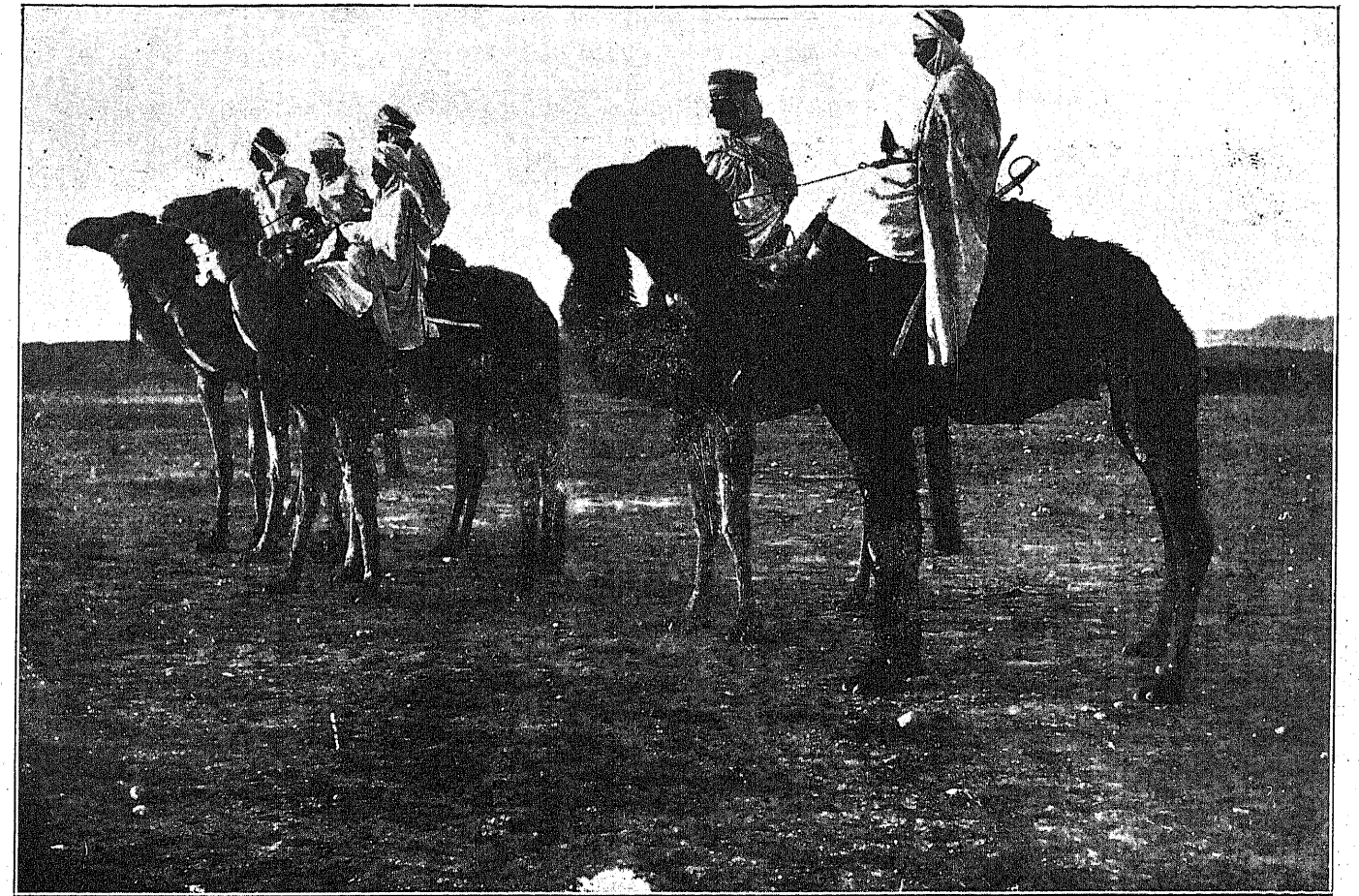
Grupa najlepszych tenisistów łódzkich z p. Steinertem po środku.



Mistrz świata w lawn-tenisie — Tilden na zawodach międzynarodowych w Londynie.



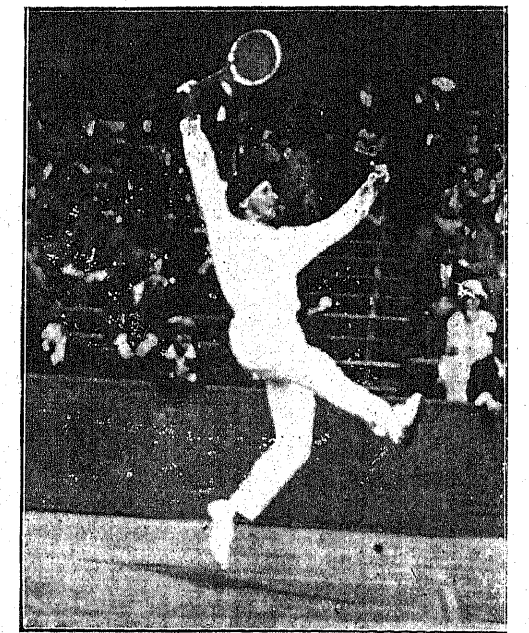
**Z wichrem w zawody...**



Wyścigi wielbłądów w pustyni, w pobliżu Biskry. Grupa współzawodników przed startem.



Nadzwyczaj ciekawy moment z meczu między Argentyną a Paragwajem w czasie walki o mistrzostwo Ameryki w piśce nożnej.



Borotra, mistrz świata w tenisie smash'uje.



## Objawienie.

Mister Stephen Wonderlie był głęboko przekonany że osobistość jego jest wyjątkowa i nieprzeciętna. Wiadomo, iż jest to wielce miłe uczucie, zwłaszcza w pięćdziesiątym roku życia — najlepszym okresie pracowitego przemysłowca.

Wonderlie był silnie i elastycznie zbudowanym mężczyzną, zdrowym, despotycznym i nieugiętym. Ożeniony z kobietą słabego charakteru, stał się dla niej czczonym półbogiem, i cześć tę uświłkowała przełać w troje dorosłych już dzieci. Jednakże najstarszy syn ożenił się samowolnie z ukochaną przez siebie dziewczyną i opuścił dom rodzicielski, zarabiając na utrzymanie pisaniem romansów.

Młodszy syn, kaleka, i córka żyli w nieustannej trwodze przed wybuchami gniewu ojca, nie mając nic z młodości swojej.

Wonderlie był właścicielem wielkiego banku i członkiem licznych towarzystw. Jednego tylko niedostawało despotycznemu mężczyźnie — był głuchy. Ogłuchł w młodości, gdy nie miał jeszcze środków na kosztowne leczenie — i głuchota pozostała już na zawsze. W ciągu czterdziestu blisko lat oswoił się z tem zupełnie i zdawało się, że nie ucywał braku zasadniczego zmysłu.

Codziennie o ósmej budziła żona Stephen Wonderlie i podawała mu filiżankę własnoręcznie naparzonej herbaty i leciutkie biszkopciki.

Wonderlie stale narzekał na bezsenność, krzywił się przy herbacie, a gdy pochylona postać żony niknęła za kotarą — wstawał z łóżka z uśmiechem zadowolonej złościwości.

Zwymyślał następnie służbę, że nie dość sprawnie pomaga mu w ubieraniu i nie dość szybko przynosi ciepłą wodę — wreszcie zjawiał się w jadalni, gdzie oczekiwała go już przy śniadaniu rodzina. Przeważnie nie mówiono nic, jeśli zaś zahukana trójka odważyła się zamienić słów parę, pytał Wonderlie z sarkazmem:

— Cóż, u djaska, myślicie, że to miło być ignorowany przy własnym stole?

Gdy zaś dzieci lub żona odzywały się do niego i wyraźnie akcentowały słowa aby je zrozumiał Wonderlie zaklinał, aby nie robili tak głupich min i nie otwierali ust szeroko niczem dzikusy.

Po śniadaniu Wonderlie udawał się na dworzec i podmiejską kolejką, gdyż willa je go znajdowała się w ogrodowej dzielnicy, udawał się do Londynu. Po drodze uważnie patrzył, czy wymijający go przechodnie, bez wyjątku prawie znajomi, dość umiżenie mu się kłaniają.

Na dworcu służba kolejowa starała się zadowolnić go we wszystkim i Wonderlie żałował tylko, że nie mógł słyszeć tych wszystkich pozdrowień i serdeczności, jakimi darzyli go bezwzględnie kornie zgięci w ukłonach tragarze i konduktorzy.

Przed bankiem witał go portjer, w salach wstawali urzędnicy, a Wonderlie z miną triumfatora zniknął w swym gabinecie, skąd wnet rozlegały się krzyki i nagany.

Mały, krępy doktor O'Calli zapewnił Wonderlie'ego, że może go wyleczyć z głuchoty. Kurację przeprowadzi w ciągu miesiąca w swym sanatorium. Wonderlie zaprzagnął żywiołowo odzyskać słuch i w zupełnej tajemnicy udał się do doktora O'Calli.

Po pięciu tygodniach powrócił do Londynu uzdrowiony...

Wszystko wydawało się Stephen Wonderlie piękniejszym i żywszym, każde drzewo mówiło mu więcej szelestem listków, niż bujna zielenią.

Pogodnie usposobiony wsiadł do auta i kazał się przedewszystkiem zawieźć do banku. Rzucił szoferowi zapłatę, a do pochylonego w ukłonie, uśmiechniętego radośnie portjera, rzekł przyjaźnie:

— Jak się masz, Simmonsie?

— Więc już wróciłeś, stary draniu! — odparł portjer, kłaniając się jeszcze niżej. — O, dniu po trzykroć przeklęty!

Wonderlie stanął jak wryty, i usłyszał głos szofera:

— Czy nie dostanę napiwku?

— Napiwku?... — zaśmiał się portjer. — Ależ chyba nie wiecie, że odwieźliście największego sknerę w Londynie. Skąpiec ten ma jedno szczęście — głuchotę, która nie pozwala mu słyszeć, co mówią o nim.

Portjer dotknął ramienia Wonderlie i zrobił ręką ruch liczenia pieniędzy, wskazując na szofera. Wonderlie wręczył mu suty napiwek.

— Ó—Odjeżdżajcie szybko — krzyknął Simmons — bo jeszcze ten wyzyskiwacz namyślił się i zażąda reszty.

Drżąc na całym ciele, wstępował Wonderlie na schody. Tłumaczył sobie dziwne zachowanie portjera nadmiernym użyciem alkoholu. Wszedł do biura. Urzędnicy porwali się z miejsc i pochylili głowy.

— Szatan powrócił! — jęknął jakiś głos.

— Znów nas męczyć zacznie ta bestja!

— Dorobkiewicz przeklęty!

— Ty djable wcielony, kiedyż opuścisz nas na wieki — sypały się zewsząd wykrzykniki. Kasjer, prokurenci, buchalterzy i mali gońcy przeklinali go z uśmiechem na twarzy.

Wonderlie wbiegł do swego gabinetu i ciężko opadł na fotel.

Gdy o pół do pierwszej udał się do restauracji, w której zwykle jadł lunch, kelner, usługujący mu, spytał umiżenie:

— Czem panu dziś służycie panie Wonderlie? Arsenikiem w pomidorze, czy cjankiem potasu ze szynką. Gadaj, stary łotrze!

Zaś od sąsiedniego stolika, zajętego przez grono znajomych, dobiegło go zdanie:

— Ten stary Wonderlie znów grasuje! Dobrze, że można mówić na niego wszystko i nie słyszy. Ileż obraz by powstało, gdyby słyszał tylko prawdę o sobie.

Wonderlie wziął palto, kapelusz i opuścił natychmiast restaurację.

Gdy zadzwonił do drzwi swej willi — pokojówka, dygając grzecznie, krzyknęła:

— Hej, tam, uważać, stare bydlę wróciło i znów nas zacznie piłować. Schowajcie mleko, bo skwaśnieje, gdy on na nie spojrzy.

W hallu spotkał Wonderlie syna - kalekę, który, wyciągając do niego z uśmiechem rękę, rzekł:

— Wróciłeś już na nasze nieszczęście, wyrodny ojeze! O, czemuż nie jestem zdrowy i silny. Poszedłbym, gdzie mnie oczy poniosą, i nie znośiłbym dłużej twej tyranji.

Córka podała mu czoło do ucałowania, szepcąc:

— Powinam się cieszyć, ojeze, że znów cię widzę, a martwię się, że radości tej odczuć jam niezdolna. Tyś mi zatruł dni mej młodości!

Wonderlie bez słowa pośpieszył na górę. Z otwartymi ramionami czekała żona. Wonderlie spojrzał, i zdawało mu się, że widzi ją po raz pierwszy. Błada, pomarszczona twarz, okolona była pasmami siwych włosów, wyblakłe od łez oczy patrzyły z trwożliwym oddaniem, a cała postać staniała się, zmęczona jego tyranstwem i wybuchami wściekłości, które nagle uzmysłowił sobie z przeraźliwą dokładnością.

— Jesteś nareszcie, kochanie — szepnęła żona i drżącymi palcami gładziła go po policzkach i głowie. — Zażękałam już za tobą...

Dzieci ukazały się we drzwiach.

Wonderlie padł przed żoną na kolana i pokrywając pocałunkami jej wyschnięte dłonie zaszlochał:

— Przebacz mi, och, przebacz...

Cała trójka zamieniła zdumione spojrzenia.

Cóż to znaczyło?

— Czyżby mógł słyszeć, cośmy mówili? — spytał cichutko syn.

— Jakże bym chciał nigdy nie słyszeć tego! Nigdy tego nie usłyszeć! — jęknął Wonderlie, pochylając głowę do nóg żony.

Bledsza jeszcze, niż zazwyczaj, pełnym łez głosem odezwala się pani Wonderlie, gładząc pieścizotliwym ruchem włosy męża:

— Najdroższy, jeśli to istotnie prawda, że słyszysz znowu, niechaj te będą pierwsze słowa moje: kocham cię, mój jedyny, kocham nadewszystko. Nie tego człowieka w tobie kocham jakiego znają inni, ale ciebie, któryś był i jesteś — mojego męża.

Tłum Ir.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 13 czerwca 1926 roku.

Nr. 24.

## U Pańskich ołtarzy.



Uroczyste modły wnoszone przez J. E. Ks. biskupa Tymienieckiego wraz z tysięcznym tłumem wiernych podczas procesji święta „Bożego Ciała“ u jednego z ołtarzy przy ul. Piotrkowskiej.